



## PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIET.

### Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism periodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

### Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBURG**

EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

## Wystawa pracy kobiet.

### II.

„Zakład Opieki Najświętszej Maryi Panny,“ przy ulicy Żytniej, zwany potocznie „Magdalenkami,“ kryje się w tak oddalonym zakątku miasta, iż szersza publiczność, nie mając go na oczach, nie wie nawet jak dobroczynną, a iście ewangeliczną i Chrystusową rozwija on działalność. Wdzięczność się też należy, przełożonej instytucji, hr. Ożarowskiemu, iż, wzięciem udziału w wystawie, przypomniała ogółowi, jeżeli nie cele wysoce filantropijnego stowarzyszenia, to środki, jakimi ono na wychowanki swe działa. Metoda zaś, w przeprowadzeniu ich, jest tak doskonała, iż nie wahamy się postawić wyrobów „Magdalenek,“ na czele rękodzielniczej wystawy pracy kobiet.

Szczupłość lokalu i tu znów splatała figła. Inaczej, mielibyśmy cały pogładowy obraz działalności tej, od lnu surowego, do najcieńszych płócien i haftów artystycznych, a mianowicie: międlenie, czesanie, tkanie, bielienie, pranie, szycie, hafciarstwo. Wskutek braku miejsca przyjęto tylko na wystawę: bieliznę i hafty kościelne.

Bielizna jest poprawnie i starannie odszyta, a bardzo pięknie znaczone. Monogramy, szlaki z lilii burbońskich, herby, korony, mogą najwybredniejsze zadowolić wymagania. Nic też dziwnego, iż wyprawy bogatych i utytułowanych dziedziczek, u „Magdalenek“ szyte są przeważnie.

Hafty kościelne tegoż zakładu, wchodzą wprost w sferę artystyzmu. Rozwieszony za szkłem, na wystawie, ornat, z Panem Jezusem ukrzyżowanym, może służyć za wzór, dla tego rodzaju robót. Ciało i głowa Zbawiciela, bardzo poprawne w rysunku, a wykonane całe *à l'aiguille*, mają nawet koloryt i wyraz tak złudnie zachowany, iż narazie zdaje się, że postać Chrystusa jest odtworzona pędzlem, a haftem tylko obramowana. Brzegi ornatu otaczają bogate, stylowe arabeski i kwiaty, złotem, koralami i drogiemi kamieniami odrobione. Praca to nader kosztowna i mozolna, a tak doskonała, iż należy jej się doprawdy najwyższe odznaczenie, jakim wystawa, w danym dziale, rozporządzać będzie.

Równie pięknym jest obraz Matki Boskiej; wisi jednak pod światło, co go ocenić dokładnie nie pozwala. „Pod światło“ także, umieścił się względem Warszawy zakład cały. I, dla tego zapewne, oko filantropów, poszukujących instytucji, której byt, dla dobra społecznego, rozwijać i utrwalić by należało, nie często trafia do cichego tego zakątka. A tymczasem, godzi on penitentki swe, z okrutnym często ich losem, i uczyć je tak dokładnie i wytrwale, a umiejętnie pracować, daje im najpewniejszą broń na resztę życia, bo sposób do uczciwego zdobycia kawałka chleba.

Niezawodnym również, środkiem, dającym zarobek legionowi kobiet ubogich, byłoby wprowadzenie u nas wyrobu koronek brabanckich. Pierwsze ich okazy przynosi właśnie obecna wystawa. Gdyby zaś zdołała ona, wpłynąć na rozwój tej gałęzi przemysłu w naszym kraju, miałyby już prawo do długotrwałej pamięci w sercu wdzięcznych pracownic.

Przed dwoma laty zwiadałem specjalnie królewskie fabryki koronek tych, w Brukselli. Przekonawszy się, jakim są one wielkiem źródłem dobrobytu, dla ludności miejscowej, namawiałem — za pośrednictwem „Tygodnika Illu-

strowanego“ — panie nasze, aby wzięły na siebie inicjatywę, we wprowadzeniu tak ważnego przemysłu do kraju. Teoretycznym mym wywodom, przychodzi dziś na pomoc wystawa, z pierwszemi, bardzo pięknymi okazami. Aby wyjaśnić dla czego na koronki brabanckie tak silny kładziemy nacisk, nadmienimy, iż samej Belgii przynoszą one *rocznie* 50 milionów franków. *Pięćdziesiąt milionów franków*, to cena małego państewka, to, biorąc przez dziesiątki lat, podstawa dobrobytu narodowego. Miejscem zbytu na koronki te, jest głównie: Ameryka i Rossya; chociaż Francya jedna, zakupuje ich również, za 3 miliony franków rocznie. Na pytanie zatem: kto będzie u nas kupował rzeczy tak drogie? — odpowiadam: Cesarstwo które dziś sprowadza je z Brabantu. Miejsca więc zbytu, na eksport, nie potrzebujemy daleko szukać.

Jeszcze jedno słówko: Belgia zatrudnia przy wyrobie koronek, 150,000 kobiet, z których *każda* dostaje robotę tę do domu i pracuje, niezależna od nikogo, w czterech ścianach własnego rodzinnego gniazda. Gdybyśmy zaś stutysięcznej tylko falandze niewieściej, dali u nas dostatni zarobek, przy własnym, domowym ognisku, czy nie upadłaby tem samem, cała kwestya pracy kobiecej w fabrykach i całe szarpanie się feminizmu, który ma jednak prawo domagać się chleba dla głodnych. Czy wreszcie, nie podniosłoby to etycznego poziomu naszych klas ubogich?

Usprawiedliwiwszy się z niezwyklej wagi, jaką przywiązujemy do wprowadzenia u nas w praktykę, wyrobu koronek, zwanych „klejnotem Brabantu,“ nadmieniamy, iż Wystawa pracy kobiet, daje podwójne ich okazy.

Pierwsze, pomieszczone w pięknej, stylowej gablotce, są własnością i wyrobem p. Leonowej Jasińskiej, małżonki wice - prezesa wystawy. Widzimy tu dwie chusteczki, z koronki *duchesse*, mankiet, czy „revers,“ o wydatnem desieniu,

zwanym w Belgii: *burano*, wreszcie wachlarz, łączący *duchesse z vieux point de Flandre*. Wszystkie okazy bardzo starannie, subtelnie i artystycznie wykonane.

Koronki te, chociaż prześliczne, jednakże, jako własność i wyrób osoby prywatnej, amatorki, nie mogą wpłynąć na sfery, poszukujące chlebobójnego zajęcia.

Drugie za to ich próby odpowiadają zupełnie powyższemu celowi.

Wystawiła je bowiem, „Pracownia artystyczno-rękodzielnicza“ p. Ludwika Strońskiej, (Grzybowska, 29) połączona ze szkołą haftów, tkactwa i sztuki stosowanej do przemysłu.

Pani Strońska wystawiła cały szereg wyrobów, jak: hafty białe *en relief*, serwety robione *à jour*, kapy z siatki gipiurowej, hafty maszynowe, kołdry, wypalania na drzewie, i t. d. W zbiorze tym, w ogóle poprawnie i dobrze wykonanym, zajmują nas żywiej tylko koronki. Widzimy tu: wolant *Duchesse*, z medalionami *vieux point de Brabant*. Dalej: cieniutką, oryginalną koronkę brukselską, zwaną: *vieux point flamand*, wykonaną igłą, na tiulu pajęczym, także igłą robionym. Dwa garnitury weneckie, wolant wenecki i parę prób najczystszej koronki brabanckiej, tej właśnie, która kupuje się zagranicą na wagę złota. Wszystko to odrobione jest wzorowo.

Otóż p. Strońska, jako przełożona szkoły, szuka tylko uczennic, aby wyrób koronek brabanckich rozpowszechnić u nas na szerszą skalę. Droga więc otwarta i... ułatwiona, dla tych, które naprawdę zarobku szukają, a chciałyby go znaleźć w domowym, cichem, i chlebobójnym zajęciu. Za kompetencją p. Strońskiej przemawiają: wystawione próby, oraz medale, jakie otrzymywała na wszystkich poprzednich wystawach, w jakich brała udział.

Inną, niemniej pożądaną nowością, w zakresie pracy niewieściej, są prześliczne mozaiki drzewne, p. Maryi Starża.

O ile wiemy, p. Starża, chcąc wprowadzić u nas, nieznaną tę gałąź przemysłu, poświęciła jej kilka lat pracy. Mozaika, tak zwana nicejska, nadająca się do ozdabiania mebli stylowych, do wyrobu ram, szkatulek, stolików, a nawet do odtwarzania kopii z obrazów, układa się z kawałków drzewa, napojonych odpowiednimi farbami, tak, iż po sheblowaniu nawet, mozaika nie traci ani barw, ani deseni. Dziś, forniry do niej trzeba jeszcze sprowadzać z Nizy. W miarę jednak rozpowszechnienia wyrobu i tu, prawdopodobnie, potrafią nasycić drzewo przeróżnymi barwami. Mozaiki te, stanowią dla Włoch, dla Sorrento i Neapolu źródło poważnego dochodu. Czemuż by się u nas przyczepić nie dały? Praca to nawskroś artystyczna, wymagająca znajomości rysunku i estetycznego smaku. Metr jej kwadratowy wymaga 400,000 kawałeczków drzewa; w kopiach obrazów, dochodzi się do 1,600,000 kawałków.

P. Marya Starża, obdarzona pewną ręką i artystycznym smakiem, wystawiła: szafkę stylową, dwa, kwiatami ozdobione, blaty do stolików, oraz bardzo piękny, poprawny w rysunku i kolorycie, Chrystus, mogący służyć zarówno za obraz kościelny, jak za antepedium do ołtarza.

Droga więc do nowego przemysłu i tu otwarta. A teraz, kto pójdzie w ślady p. Maryi Starża?

Do mniej znanych zakresów pracy, należą jeszcze: wyroby litograficzne p. Daneckiej i rysunki techniczne, któremi zajęła całą ścianę szkoła p. Wiesiołowskiej. Z okazami tych ostatnich, spotykamy się wprawdzie od lat paru, a uczennice, wykwalifikowane w nich, znajdują zajęcie u budowniczych i w biurach kanalizacji, niemniej, nie wychodzi to dotąd po za zakres prób pierwszych. P. Wiesiołowskiej więc, należy się dank, za torowanie szlaków w tym kierunku.

Gdyby obecna Wystawa pracy kobiet, nie przyniosła nam była nic więcej, po nad te cztery ważne objawy, imię jej byłoby już dobrze zasłużonym. Obok jednak pionerek nowych dróg przemysłu, liczy ona całe szeregi wystawczyń, w dawniej już znanych zakresach rzemiosła i sztuki.

Anatol Krzyżanowski.

## POGAWĘDKA.

Miesiąc ubiegły przyniósł nam niemałą wiązkę faktów, które, wyjątkowo dla kronikarza „Bluszcza,” są prawdziwymi skarbami Gol-kondy.

Wypadki codziennego naszego życia, są nieraz tak mało zajmujące, zresztą samych tych wypadków bywa tak mało, że kronikarz jest w okrutnym częstokroć kłopotcie, nie wiedząc sam, jak się ma z podjętego przez siebie zadania wywiązać. Gdyby był Falbem przepowiadający burze, trzęsienia ziemi, rozmaite awantury zakończone przepowiednią spotkania się ziemi z jakim kometą ogoniastym; gdyby był obdarzony jasnowidztwem jak panna Cuedon i był, jak ona, w zażyłości z aniołem Gabrielelem—we wróżby bawiłby się, każąc na piaszczystych gruntach Mazowsza miastom wyrastać, a gromom milionowym rozsypywać się w pył marny; gdyby zresztą, „Bluszcza” był tygodnikiem politycznym, przelewałbym z pustego w próżne, stawiałbym horoskopy bliskiego nadejścia złotego wieku Apollina, a tym czasem godził zwałnionych, zachwycał się rycerskością Badeniego, panu Wolfowi pod nosem kiwał i gorszył się niemoralnością obstrukcyonistów austrijackich.

Inne zresztą ma całkiem zadanie pismo dla kobiet przeznaczone, w którym niewolno ani w dosadny dowcip się zabawić, ani folę dać zbytnej fantazyi, lecz buzię „w ciup” złożyć, jako Baśce Sienkiewicz każe. Nie bawiąc się więc w żadne przepowiednie uczonych ani bajanie wróżek i pozostawiając na uboczu wszystkie awantury wiedeńskiego sejmu, musimy w lot to tylko chwytać, co jest interesem dni bieżących, a czyniąc zadość obowiązkowi kronikarskiemu, wracamy do wspomnianych wyżej czterech faktów, radujących nas wielce.

Faktami temi są:

- 1) Otwarcie gmachu szkoły technicznej p. p. Wawelberga i Rotwanda.
- 2) Urzeczywistnienie się szkoły ogrodniczej przy ogrodzie pomologicznym.
- 3) Przeszło półmilionowy zapis s. p. Edwar-da Czabana.
- 4) Dochody osiągnięte z obrotów totalizatora roku pańskiego 1897.

Widzę tu pewne zdziwienie na twarzach moich czytelników i czytelniczek.

— Zakład techniczny, szkoła ogrodnicza, Czaban i—totalizator?—Czy to czasem nie będzie groch z kapustą?

Bronię się:

— Jeżeli jest kapusta, to—szanowni moi państwo dobrodziejstwo—totalizator jest tej kapusty okrasą.

Ale—cierpliwości!

Szkoła średnia mechaniczno-techniczna została otwarta d. 13 Września 1895. Celem jej było wyposażenie uczniów w wiadomości nieodzowne dla techników, jako najbliższych pomocników inżynierów i w ogóle wyższych kierowników przedsiębiorstw przemysłowych, miała również na celu przysposobienie kierowników sa-

modzielnych dla pomniejszych lub nieposiadających inżyniera zakładów przemysłowych.

Projektodawcami tej szkoły, oraz tymi, którzy zabezpieczyli byt jej na przyszłość są panowie: Hipolit Wawelberg i Stanisław Rotwand.

Rzeczona szkoła mieściła się pierwotnie przy ulicy Składowej, w domu wynajmowanym, w którym urządzono potrzebne sale dla wykładów i rysunków oraz warsztaty, pracownie i t. d.

Liczny napływ prośb o przyjęcie do szkoły zaraz po jej otwarciu, ujawnił niezbicie potrzebę podobnego zakładu w Warszawie. Otwarto więc równoległy oddział klasy 1-szej do której przejęto 82 uczniów. Nauczycieli było wówczas dziesięciu, lecz już w roku następnym 1896/7 na kursie pierwszym znalazło się uczniów 84, drugim 45; wzrosła też i liczba nauczycieli do piętnastu. W tymże roku d. 9-go Lipca p. minister oświecenia uwiadomił założycieli o przyznaniu im prawa prowadzenia tej szkoły pod nazwą „Średniej szkoły technicznej Wawelberga i Rotwanda.”

Całkowite urządzenie szkoły wymagało jeszcze wiele trudu i nakładu. Musiały też być zaprowadzone nowe przepisy i porządki. Brak podręczników specjalnych utrudniał wybór nauczycieli, ważną też było rzeczą zapewnienie uczniom na czas wakacyjny zajęć praktycznych w fabrykach i zakładach przemysłowych. Dzięki jednak zajęciu się szkołą przez społeczeństwo nasze i ta trudność usunięta została. Wielu właścicieli i dyrektorów fabryk, niezwłocznie oświadczyło gotowość dopuszczenia wychowalców szkoły do zajęć u siebie, przeznaczając im nawet pewne wynagrodzenie.

Dom jednak przy ulicy Składowej okazał się za szczyplą—potrzeba było myśleć o nowym lokalu. Nie zapomnieli o tem założyciele szkoły — i — założenie kamienia węgielnego pod gmach nowy nastąpiło d. 18-go Lipca 1896 r. Otwarcie i poświęcenie uroczyste tego ważnego zakładu naukowego odbyło się w dniu 18 Października r. b. w obecności J. O. księcia Imereńskiego, r. t. Anapowa przybyłego umyślnie na ten dzień z Petersburga, rz. r. st. Ligina, założycieli Wawelberga i Rotwanda, dyrektora Mittego i wielu innych przedstawicieli naszego świata naukowego i dziennikarskiego.

Z początku roku bieżącego już otwarto trzy kursa: Kurs I w oddziale zasadniczym i równoległym liczy 90 uczniów, kurs II—48, kurs III 35. Nauczycieli jest 20.

Ponieważ wstępujący do szkoły mają świadectwa z ukończenia pięciu, sześciu, a nawet siedmiu klas gimnazyów lub szkół realnych, przeto są w latach, w których służba wojskowa stanowiłaby przerwę w prowadzeniu nauk, co wywarłoby ujemny wpływ na wykształcenie. Ważna jednak to sprawa zakończoną została dla szkoły pomyślnie, albowiem Najjaśniejszy Pan raczył udzielić ulgę szkole, tak, że dopiero po skończeniu lat 22 uczniowie zostaną powołani do służby wojskowej.

Fakty czerpiemy z przemówienia dyrektora Mittego, mianego w dniu otwarcia szkoły.

Ciekawym też był bardzo referat radcy tajnego p. Anapowa, który wykazując, jak szybkim jest rozwój przemysłu, stwierdził cyframi brak miejsca w wyższych zakładach naukowych specjalnych w Cesarstwie i ogromną liczbę kandydatów, którzy, nie mogąc znaleźć pomieszczenia w szkołach krajowych, po naukę muszą się zagranicę udawać. P. Anapow, podnosząc wysoko ofiarność p. p. Wawelberga i Rotwanda, wyraził nadzieję, że Warszawa otrzyma politechnikę, do której otwarcia przyczyni się bezwzględnie ofiarność ogółu.

Tak więc dzięki takim obywatelom kraju jak Wawelberg i Rotwand, przy Mokotowskiej ulicy stanął gmach piękny, nowe pole dla nauk praktycznych otwarło się, Warszawa zyskuje na znaczeniu i coraz więcej staje się ogniskiem oświaty.—Oto jest fakt, który z przyjemnością kronikarz zaznacza.

Nie postawiliśmy jeszcze kropki po zdaniu—ostatniem, jak w przedpokoju dzwonek się ode-

zwał i chłopak z redakcyi gazetę przyniósł położył pióro i wziął się do przejrzenia doręzonego dziennika. Może jakaś nowość w oczy mi wpadnie, z którą będę mógł i z moimi czytelnikami się podzielić.

Jest!

Co?

A oczywiście pan Wawelberg.—Oto co wyczytałem.

„Z okazji uczczenia pięćdziesięcioletniego istnienia firmy swojego domu bankierskiego re-deklarował pan H. Wawelberg sumę 300,000 rubli, jako kapitał fundacyjny Hipolita i Ludwiki Wawelbergów, przeznaczony na budowę domów, w których znajdują robotnicy zdrowe mieszkania za tanie pieniądze.“

Myśl budowy domów z mieszkaniami takimi oddawna już kołatały się w głowach różnych kapitalistów u nas. Lecz na projektach kończyło się wszystko. Pan Wawelberg dopiero *wziął i zrobił*. I oto położony został kamień węgielny pod gmach instytucyi pierwszorzędnego znaczenia społecznego. Pan Wawelberg ma pieniądze—to prawda, lecz umie rozporządzać niemi uczciwie i rozumnie.

A teraz przechodzimy do punktu drugiego—do „Szkoły ogrodniczej“ oczekiwanej od dawna, a obecnie rozpoczynającej swą pracę.

Przedmiotami wykładowemi są: religia, język rosyjski, arytmetyka i rachunkowość, geografia, historia Rosyji i przedmioty specjalne, dotyczące się ogrodnictwa i warzywnictwa. Oprócz tego uczniowie zaznajamiać się mają z „głównymi prawami, dotyczącymi bytu włościańskiego.“ Za zezwoleniem zaś kuratora okręgu naukowego, wprowadzony być może wykład niezbędnych dla ogrodnika wiadomości z języków: francuzkiego i niemieckiego oraz rysunków.

A język polski? niejeden z czytelników zapyta. O nim żadnej wzmianki niema. — Słusznie więc, sprawę tę podnosząc „Kuryer Codzienny“ mówi:

„Okoliczność ta nie może być obojętną. Nie wątpliwie, jeżeli nie wszyscy, to przynajmniej ogromna większość wychowanców szkoły powiększy zastęp ogrodników miejscowych. Czy możliwym jest, by ci nowo kreowani ogrodnicy mogli oddać ogrodnictwu miejscowemu rzetelne usługi, jeśli nie będą znali dokładnie języka ludności miejscowej. Wszakże ustęp o zaznajamianiu się z prawodawstwem włościańskim wskazuje, że jedną z zasad szkoły ma być kształcenie odpowiednich instruktorów dla włościan. Jakże ci intruktorzy spełnią swe zadanie, skoro nie będą umieli terminologii ogrodniczej polskiej, jakże mogą prowadzić porządnie księgi ogrodnicze, skoro nie będą umieli pisać po polsku?“

Do szkoły ogrodniczej wstępować będą poważnie praktykanci ogrodnicy, posiadający za ledwie elementarne wykształcenie. Jeżeli więc szkoła nie da im możliwości zaznajomienia się dokładnego z ich rodowitym językiem, to stworzy im, pomimo specjalnego wykształcenia, trudność w zdobyciu odpowiedniego stanowiska w kraju, w którym mają żyć i pracować. I dla tego dziwnem wydać się musi każdemu: uznawanie potrzeby wykładu w szkole ogrodniczej warszawskiej języka francuzkiego lub niemieckiego, a nieuznawanie wykładu języka polskiego.“

I co przeciwko temu powiedzieć?

Szkoły, mające na celu dać swym wychowancom byt niezależny w przyszłości,—to dobrodziejstwo wagi niemałej i z tem właśnie głównie liczyć się powinny. Piękną jest samo przez się nauka—lecz nie dla niej taka szkoła istnieje; zadaniem jej końcowem jest—chleb.—Do zdobycia zaś jego ułatwione środki być powinny, tu jak widzimy, rzecz się nieco inaczej przedstawia. Mamy jednak nadzieję, że brak ten zastąpiony zostanie.

Od dawien dawna, znana ofiarność naszego ogółu zakwestyonowana nie została, rok zaś bieżący dał tego tak dotykalne dowody, że wspominać o tem nie mamy potrzeby. Lecz co

innego ogół, co innego zaś ofiarność pojedyncza; z objawami tego rodzaju, nie spotykamy się codziennie, to też zdumieni zostaliśmy, gdy dzienniki zawiadomiły nas o testamencie ś. p. Edwarda Czabana, który olbrzymią sumę, bo 570,000 rs. przeznaczył na cele użyteczności publicznej.

Do chwili śmierci ofiarodawcy nikt o nim nie wiedział. Śmierć dopiero rzuciła blask wspaniały na tego człowieka, który w szesnastym roku życia swojego, pozostawiony siłom własnym, umiał dojść do tak olbrzymiej fortury, by z niej następnie tak doniosły użytek zrobić.

Ś. p. Czaban długie lata przepędził w Anglii i Francyi, gdzie—mając już własny kapitał, rozwinął na szeroką skalę handel drzewem. Dużo miał do walczenia z rozmaitemi przeszkodami, lecz trudy wszelkie pokonywał hartem męskiej woli, a odznaczając się wielką prawością i sumiennością, cieszył się ogólną sympatją i uznaniem wśród francuzów. Tęsknota rwała go do kraju, lecz praca nie pozwalała ziemię obcą porzucić, a fortuna z dniem każdym wzrastała. Godnem uwagi jest i to, że lat kilkadziesiąt przybywszy na obczyźnie, ojczyzną mowę w niepokolanej czystości zachował.—Wymowny jest to przykład dla tych, którzy mieszkając na kresach naszej ziemi, język swój psują, tłómacząc się tem, że są oddaleni od ogniska polskości. Wykręt marny, na który odpowiedzią może być tylko:—za małoście kochali!

Gdy starość się zbliżała, ś. p. Czaban zateęsknił za krajem. Przyjaciele jego i siostra pani Wieman postarali się o powrót dobrowolnego wygnańca,—który, swój przyjazd do kraju zaznaczył spisaniem testamentu ogłoszonego niedawno.

Ś. p. Czaban w osobie siostry swojej i otaczających go przyjaciół—szczególniej tej pierwszej—doradców miał znacznych. Wspaniałe zapisy otrzymały domy boże, instytucye publiczne, młodzież ucząca się, zakłady naukowe i t. d.—I odtąd nazwisko ś. p. Edwarda Pawła Czabana ze czcią będzie powtarzane przez wieków wiele i pokoleń wiele, jako nieśmiertelne dzieło miłosierdzia.

I oto:

Panowie Wawelberg i Rotwand budują i uposażają gmach szkoły technicznej; syn kupca warszawskiego ś. p. Czaban—krocie rzucił na cele filantropijne, a cóż robią inni?

— Cha—cha—cha.

Śmiech słyszę za sobą...

To śmieje się stary mój przyjaciel i prześladowca niegodziwy...

— Nie widziałeś?—pyta.

Robię twierdzący znak głową.

— Nie dziwi się!—on na to.—Tam, gdzie oni są—ciebie niema. *Z zasady*, jak to nieraz mówiłeś, nie idziesz tam, gdziebys i ich mógł spotkać.

— Przyjacielu, mów wyraźniej!

— Za mało czytasz—mój kochany...

— Gdzież oni są... do stu—i t. d., w gniewie już wołam.

— A plac wyścigowy? a zielona murawa pola mokotowskiego, gdzie się prowadzi „udoskonalaona hodowla koni?—A wiesz że ty, co to jest totalizator? Jak on pociąga umysły wszystkie i wysusza kieszenie wszystkie?—Czytaj!

Tu rzucił mi Nr. 24 tygodnika sportowego p. n. „Jeździec i Myśliwy“ i wskazał na sprawozdanie Towarzystwa wyścigów konnych za r. 1897, odczytane d. 15 Października podczas ogólnego zgromadzenia tegoż Towarzystwa.

Patrząc—nie wierzę—wreszcie zdumiewam się i sromne ku ziemi źrenice opuszczam: Ogrom cyfr mnie przytłacza. Oto pozycja dotycząca dochodu, osiągniętego z tegorocznego totalizatora:

230,000—Wyraźnie: dwieście trzydzieści tysięcy rubli!... czystego zysku.

— Co to znaczy?

— A ot co—powiada mój prześladowca:

Ponieważ totalizator przy wypłacie wygranych strąca z ogólnej summy stawek 10-ty procent, a zatem obrót jego wynosił w r. b.

2,300,000.—Wyraźnie: dwa miliony trzykroć stotysięcy rubli.

Dalej sprawozdanie wykazuje, że Tow. W. K. osiągnęło ze sprzedaży biletów wejścia i programów 60,000,—z czego wypada, że mieszkańcy Warszawy z rozmaitych warstw społeczeństwa, ofiarowali w r. b. 290,000 na...

Na co?

Przyjaciel mój mówi, że—na udoskonalenie hodowli koni, boć to przecież jest celem Towarzystwa wyścigów.

Dajcie szanowni czytelnicy sami sobie odpowiedź, którejby był nie rad w duszy swojej dośpiewywać.

Dnia 28 Października została otwarta w Warszawie „Wystawa pracy kobiet.“—Muzeum sali swej odmówiło, nieładła więc w kłopotcie byli wystawy, co z tym fantem zrobić, ale im w pomoc przyszedł—p. Wawelberg, oddając próżny lokal po dawnym swym kantorze, znajdującym się na placu teatralnym.

Okazów jest bardzo wiele i bardzo pięknych, ale nie odemnie oczekujcie, łaskawi czytelnicy, dokładnego sprawozdania o tej wystawie. Specyalny sprawozdawca czy sprawozdawczyni „Bluszczu“ lepiej to odemnie we właściwym miejscu uczynią, ja zaś, ogólnie rzecz biorąc, powiem, że—całość przedstawia się nader zajmująco, a niektóre przedmioty same, jak to mówią, w oczy wpadają. Do takich należą: przesliczny parawanik z malowideł na szkle p. Poświkowej, piękny wypalany i emaliowany stół i krzeselka p. Nowickiej, jako też ładne instrukcje i mozaiki z drzewa p. Teresy Jadwigi oraz przepyszne miniatury z kości słoniowej p. Lempickiej.

Przed kilku dniami salon Krywulta wystawił cykl obrazów p. Costenoble przedstawiający „Tragedyę kobiety.“

Pomimo rozgłosu, jaki poprzedził wystawienie owej tragedyi, zastaliśmy—rozczarowani. W sztukach pięknych, a w danym razie w malowidle, nasamprzód szukamy piękna, artyzmu w wykonaniu danego przedmiotu, jako też logicznego rozkładu barw, na później dopiero zostawiamy wysiłek myśli do odgadywania, co autor chciał powiedzieć. Powiedziawszy szczerze, że bez komentarzy, trudno nam byłoby odgadnąć na czem cała owa tragedyi kobiety polega.

Pewien z krytyków naszych powiedział, że gdyby obrazy panny Costenoble były piękniejsze—byłyby pornograficznymi; my zaś w „tragedyi“ widzimy objaw histeryi, wynaturzenie się pojęć etycznych, w tak zaś zwanym „symbolu barw“ arlekinowe tańce talentu, szukającego dróg, jakimi jeszcze nikt z żywych nie chodził.

Dobre i to bywa czasami, czasem nieznaną ścieżką odnajdzie się i zaprowadzi do światów niewidzianych dotąd,—ale to jest udziałem duchów silnych, nie osobników zdenerwowanych.—Cykl obrazów panny Costenoble jest: pod względem wykonania — dziwnym, rysunku — brzydkim, barw — chorobliwym, treści — nieprzyzwoitym.—Nie dziwimy się tedy, że władza parę najdrastyczniejszych obrazów usunąć z salonu kazała, ale dziwimy się, że spotykaliśmy na wystawie „mamy“ z dziewczátkami, mundurki nawet uczniowskie i to wszystko pod opieką starszych.

Doprawdy, że się czasy zmieniają.

Dawniej byliśmy zdania, ażeby w młodzieży płci obojga zachować kwiat niewinności do lat najpóźniejszych, obecnie zaważenie zaznajamiamy z tem wszystkiem, co żadnego moralnego pożytku nie przyniesie, a niepotrzebnie uspięne zmysły budzi.

??

## PIOSENKI CHCESZ?

**P**iosenki chcesz? więc piosnkę ci  
 Napiszę,  
 Lecz duszy mej wiośnianych dni  
 Wróc ciszę,  
 I myślom mym słoneczną wróc  
 Pogodę,  
 I serce mi to ufne wróc  
 I młode.  
 Niech wskrześnie mi znów życia maj,  
 Maj złoty,  
 Zachwyków czas, beztróskiej czas  
 Pustoty,  
 Co przepadł gdzieś, sam nie wiem gdzie,  
 Bez wieści,  
 Gubiąc swój ślad śród życia dróg  
 W boleści...  
 Wróc mi to, wróc! a wówczas śpiew  
 Rozgłośny  
 Z sercem twem wraz zanucę w takt  
 Radośny;  
 Do duszy twej gdy dusze ma  
 Dostroję,  
 Jak miły dar powitasz ty  
 Pieśń moję...  
 Wróc mi to, wróc! Bo gdybym chciał  
 Wlać w tony  
 Ten wielki żal, co w piersi łka  
 Zdręczonej,  
 I serca lęk, w zwątpieniu gdy  
 Zamiera,  
 I myśli mrok, gdy w głębie serc  
 Spoziera,  
 Ach! i te łzy, ogniem i krwią  
 Co płyną,  
 To tybys pieśń przekleła ma,  
 Dziewczynol...  
 Wanda Krasuska.

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

# WRÓCI!

POWIEŚĆ.

—\*—

(Dalszy ciąg).

Na dworze śnieg padał, wiał chłodny dął z północy i kręcił tumanami białego puchu. Zima rozpanoszyła się na dobre, zawieję i mróz z sobą przynosząc.

Panna Sośnicka spojrzała na zegarek.

Dwunasta!

Zaniepokoiła się.

Najpóźniej o godzinie dziesiątej wracała do domu, a od chwili, gdy dni coraz krótszemi się stawały, na jej spotkanie pan Mateusz wychodził i razem z nią do domu wracał.—Ojciec musiał teraz w domu pozostać, bo nie sposób, by podczas zawieji takiej krążył około domu Dudkowskiego i nie zawiadomił o obecności swojej.

Obejrzała się.

Cicho—senno—biało, wiatr tylko zaszumiał czasami i unosił pył śnieżny.

Od środka miasta nie było zbyt blisko do domu, w którym mieszkała. Musiała przejść jedną i drugą ulicę, raz na lewo, dwa razy na prawo skręcić, ku przedmieściom się zbliżyć, gdzie, o tej godzinie przynajmniej, za pusto i za głucho było. Gdyby nie scena jaka odegrała się przed chwilą w mieszkaniu szewca, poprosiłaby Andrzeja, by ją odprowadził, teraz lękała się tego uczynić, a starego Onufrego trudzić nie chciała. Czekala na sanki—ale małowruchliwy Szarogród koło północy już usypiał, tem bardziej dziś było cicho, podczas śnieżycy takiej.—Odezwały się wprawdzie tu i tam dzwoneczki, ale, albo boczną ulicą sanki, przemknęły albo minął ją ktoś jadący. Nie było więc na co czekać, i—panna Jadwiga postanowiła wyruszyć sama. Uniosła więc nieco sukni, ogarnęła się lepiej—i szybko iść zaczęła. Ale zaledwie postąpiła kroków kilka, jak ktoś zbliżył do niej i ramię podał.

Jadwiga zatrzymała się i groźnem okiem zmierzyła zuchwalca.

— Przepraszam panią—zabrzmiął głos dobrze jej znany, ale zostałem przez rodziców pani wysłany, abym jej towarzyszył.

— Aa! — zawołała z uśmiechem, poznając Pawła.

Podala żadaną rękę i poszli razem — —

— Jak można tak się spóźniać, — zaczął Paweł, — i jak można tak niepokoić nas wszystkich?

— Rzeczywiście, postąpiłam nierozważnie. Ale pan nie wie, jak mnie słuchano i kto mnie słuchał.

W krótkich słowach opowiedziała Pawłowi o powiększającej się z dniem każdym gromadce uczniów.

— Uwielbiam panią! — rzekł Paweł.

— Pan byłeś u nas? — spytała Jadwiga — —

— Chciałem odwiedzić państwa nie w dzień urzędowych przyjęć, chciałem jedynym tylko być gościem, bo—powiem pani otwarcie—od pewnego czasu zebrania większe zaczynają mnie nużyć. Zmieniam się powoli, starzeję trochę... sercem,—dodał.

Po chwili rzekł:

— Chciałem więc chwilkę przepędzić z państwem... i to mi się nie udało.

— Przecież rodziców moich pan zastałeś?

— Ale nie było pani — —

— Nie narzekaj pan. Mieć mnie będziesz przez całą drogę...

Na zakręcie ulicy chłodny, przejmujący wiatr wionął. Chroniąc się od wchru, Jadwiga przytuliła się do Pawła tak blisko, że czuł drżenie jej serca, każdy przyplwający ruch krwi. Głowę miał zwróconą do towarzyszki swojej, rozkochanemi oczyma patrzył na nią, która jednak na te spojrzenie nie zwracała uwagi, bo unikając pocałunków boreaszowych i chroniąc się od płatków gęsto padającego śniegu, głowę miała ku piersi pochyloną i szła krokiem szybkim, grzęznąć prawie po kostki w puchu śnieżystym.

— Nie udało mi się podwójnie, — ciągnął Paweł, — bo, nie zastałem panią, a choćbym zastał nawet—znalazłbym się w towarzystwie, którego właśnie unikać chciałem.

Jadwiga spojrzała na mówiącego — —

— Zastałeś pan kogo u nas?

— Ach, pani! — westchnął Paweł, — zastałem!...

Przyszedłem do państwa w chwili, gdy ojciec pani wybierał się na jej spotkanie. Tymczasem wiatr się zerwał i śnieg zaczął sypać. Matka pani zatrzymywała pana Mateusza, lada chwila oczekując jej przybycia, pan Mateusz kilkakrotnie ubierał się i rozbierał, ale zguby jak nie było tak nie było. Wiedziałem o której godzinie pani przychodzisz, spóźniłem się więc ze swoją bytnością o tyle, by panią zastać. Przychodzę i nie zastaję. Zapóźno już było, ojciec pani zaniepokojony i gniewny trochę po raz trzeci wybierał się w wyjściem, ale już ja na to nie pozwoliłem i—oto mnie pani widzi.

— Czekałeś pan długo na mnie? — spytała Jadwiga.

— Na zegarek nie patrzyłem, ale czas mi niepomernie się dłużył. Myślałem nawet, że pani

już nie ma, lecz zapytana w kuchni służąca Dudkowskiego uspokoiła mnie w tej mierze.

— Zachodziłeś więc pan aż do kuchni? — zaśmiała się Jadwiga.

— Przez okno zaglądałem nawet, — dopowiedział Paweł.

Jadwiga stanęła na chwilę i spojrzała w twarz Pawła, a serce jej dziwnie nierówno uderzyło. Obawiała się szpary w oknie, obawiała się, by... Paweł nie zajrzał w chwili, gdy Andrzej głowę swoją na kolanach jej trzymał. Ludzie do sądów są pochopni—byłaby zmuszona tłomaczyć się, a to, oczywiście, nie małą sprawiłoby jej przykrość. Postąpiła więc naprzód i spytała swobodnie:

— I cóż pan zobaczyłeś?

— Niestety—nic!

— Okna szczelnie były pozamykane,—rzekła oddechając — —

— Niech pani na raz przyszyły choć malutką szparkę w frankach zrobi — —

— O, przeciwnie! — zaśmiała się już swobodnie Jadwiga. — Odtąd sama będę opatrywała okna i otulała je szczelnie,

— To pani taka dobra? — rzekł Paweł

— Alboż mówiłam panu, że jestem dobra?

— Ja jednak myślałem — —

— Że jestem lepszą?

— Tak...

— Oszukałeś się pan! Cóż robić? Widocznie przeznaczeniem jest mojem oszukiwać ludzi.

— Nie, nie, nie, — rzekł Paweł. — Może oszukują się sami, może sami chcą się oszukiwać—bo—czasem—i to przyjemnem bywa!...

Milczeli chwilę — —

— Ale, — zaczęła Jadwiga. — kogóż pan u nas zastałeś?

— Pannę Marynię, pannę Helenę, które były w towarzystwie brata pani.

— Pannę Marynię? — spytała Jadwiga, kładąc przycisk na ostatnim wyrazie.

Paweł poprawił się.

— Pannę Maryę—to nie zmienia prześladowającego mnie fatalizmu.

— Ale à propos Maryni. Miałabym coś z panem do pomówienia w tej sprawie.

Paweł drgnął lekko.

— Słucham panią, — rzekł.

— Czy pamięta pan pierwszą moją wizytę u Kamenekich?

— Pamiętam — —

— Dowiedziałam się później, że gdy rozmawiałam w ogrodzie z ojcem Maryni, ona i pan siedzieliście wtedy w altanie. Pan prawie codziennym byłeś gościem u rodziców Maryni, nie potrzebuję dodawać, że dobrze widzianym. Muszę jednak powiedzieć, że... że...

— Że...?

— Serce Maryni trochę żywiej uderzyło dla pana.

— W altanie?...

— A! pan sam się do tego przyznajesz... Więc tak!... Była chwila nawet, że Marynia oczekiwala, tam, w altanie, cieplejszego od pana słowa... Ono już nawet wrywało się z ust pana, wiem, że w tej ważnej chwili, nadeszła matka pana i obecnością swoją przerwała spowiedź serca; że później Marynia głos mój posłyszała, że później pan coraz rzadziej zacząłeś bywać w domu jej rodziców, choć mieszkasz na jednym z nią dziedzińcu—że zaczęta rozmowa w altanie już się nie powtórzyła, od pana chłód wionął, dostrzeżono cofanie się—cenzurowanie każdego wyrazu, myśli... Czy rzeczywiście tak było?

— Obchodzi to panią? — spytał Paweł.

— W przeciwnym razie nie pytałabym pana...

— Pytasz—że to pani w swoim imieniu?

— Nie posadzaj mnie pan o prózną ciekawość.

— Mam—że być szczerym?

— Chciałabym.

— To od pani zależy.

— Więc chcę!

— Ale uprzedzam panią, że będę zupełnie szczerym. Zezwalasz pani na to?

— O to mi właśnie chodzi.

— Mając pozwolenie pani, nabieram śmiałości do wypowiedzenia wszystkiego. Wszak dajesz mi pani prawo?



marzycielstwa, a nawet do mistycyzmu, broniły nas zawsze przeciw dziwactwom krańcowego naturalizmu, w sztuce i literaturze. Kierunek przeto, który na Zachodzie stanowił protest przeciw oschłości idej materyalistycznych, oraz zwrot nowy ku starym, lecz zapoznanym prawdom, u nas zwrotem takim być nie mógł, bośmy z czystej ich krynicy pili zawsze. *Naród miał taką literaturę, na jaką chciał zasługiwać.* Niemniej, nałóg dawny, każący nam wiecznie Francję naśladować, wymagał zadośćuczynienia. Gdy więc tam zmanifestowano wiarę w pierwiastek duchowy człowieka, gdy zaczęto głosić i wyznawać: neo-chrześcianizm, spirytyzm, okultyzm i wszystko, co myśl ludzką od ziemi oderwać może, u nas, nie literatura, lecz znaczna część prasy, krzywiąc kierunek ów, uderzyła w surmę ultraklerykalizmu.

To wzięcie formy za treść, uprawiane rozmyślnie, gwoli spekulacji wydawniczej, a zaostrożone jeszcze, w tymże samym celu, jadem krańcowego antysemityzmu, zacieśniając atmosferę naszej publicystyki, nie mogło pociągnąć ku sobie talentów twórczych. Znużone szarzyzną, cofnęły się od wstrętnych utarczek społecznego i religijnego faryzeizmu, a opuszczając życie współczesne, wraz z jego marną dolą, małostkowością i obłudą, zapragnęły pociągnąć ogół, ku szerszym horyzontom, ku innym światom.

Starożytność daje nam tak wspaniałe obrazy, jak: *Quo vadis?* i *Faraon*, doba Odrodzenia zaś, wprowadza na scenę polską, silny i malowniczy *Turniej*. Dzięki temu również. Choiński pisze: *Gasnące słońce* i *Ostatnich Rzymian*. Mylą się bowiem — jak sądzę — ci, którzy twierdzą, iż laury Sienkiewicza nie dały zasnąć innym autorom, wstępującym w jego ślady. Nie, umysł twórczy, gdy zataśkni do szerszych, horyzontów, gdy zapragnie rozwinąć skrzydła, by wypowiedzieć i uplastyczyć pojęcia, obce jego dobie, umysł taki, musi szukać właściwego pola dla polotu swego i wyobraźni. A gdzież je znaleźć, jeżeli nie w przeszłości, zdumiewającej bogactwem kolorytu, różnorodnością przekonania, potęgą namiętności, potwornością występków i imponującą podniosłością enót surowych?

U p. Choińskiego zresztą, zwrot to tem zrozumialszy, iż ma on, w burzliwej swej naturze, coś z dawnych Raubritterów. Pociągają go walki i szermierki rycerskie, nęca wielkie spory, najazdy, wszystko jednym słowem, co w potężnych ramach, szerokie zakresła obrazy. Gniewa go filisterstwo, ciasnym mu jest salon, z flirtem swym i erotyzmem, nie lubi mieszczańskiego egoizmu i sybarytyzmu. Odrzuciwszy też wszystkie te cechy, uwolniony od malowania kobiety współczesnej, której nie rozumie i nie zna zupełnie, talent Choińskiego, w *Gasnącym słońcu* dopiero, zablysnął po raz pierwszy, pełnią siły męskiej. Jego Publiusz zdaje się ze spiżu wykuty, a w najeździe Germanów, na chylącą się do upadku Romę, w nawale barbarzyńskiej, spadającej na słoneczne równiny Italii, słyszysz nieledwie chrząst zbroi i tętent pędzących rumaków.

Gdy wobec tego, uprzytomnimy sobie jeszcze, że powieści współczesne p. Choińskiego, po prostu „nie miały szczęścia“, że wzamian za jego zapal polemiczny i krytyczny, za ostre sądy, o dziełach innych, za ferowanie surowych, a nie zawsze usprawiedliwionych wyroków o pracach cudzych, odpłacano mu pewnym, z góry powziętym uprzedzeniem do własnych jego utworów, to zrozumiemy, dla czego dziełdzina ta zbrzydłać mu mogła. Przypuszczamy więc, iż przerzucił się na pole powieści historycznej, nie dla laurów Sienkiewicza, lecz dla tego, że natura talentu jego, zmiany tej wymagała. Stwierdza to jeden jeszcze szczegół: Oto p. Choiński porywa i ujarzmia czytelnika, tam jedynie, gdzie poezja i subtelny czar uczuć, dają się zastąpić obrazami, o charakterze rycerskim lub wojowniczym. Dajcie mu jednolity blok marmuru, a wykuję: Publiuszów, Symmachów, Flawianów lub Winfridusów, stworzy

przepyszną, posagową postać matrony rzymskiej powoła do życia westalkę, Faustę-Auzonię. Gdy jednak pokusi się o charakter niewieści lżejszego pokroju, wtedy jego Porcyą, siostrą Kajusa Juliusza Strabona, przypomni naiwny, źle skreślony typ paniutki, która ukończyła świeżo pensję.

Jednym słowem, talent p. Choińskiego należy do silnych, nawskroś męskich, lecz trochę jednostronnych.

Stwierdzenie faktu tego, potrzebne nam było dla zrozumienia najnowszej jego powieści, p. t. *Ostatni Rzymianie*

Do napisania jej, skłoniła autora widocznie, chęć odtworzenia tryumfu niespożytej idei chrześcijaństwa, nad światem pogańskim. Takim było założenie. W wykonaniu jednak, projekt ten spaczył się i zламаł. Bohaterstwo Rzymian, walczących z rozpaczonym oporem, za tradycje swe i wielkość Romy światowładnej, za bogi i ideały narodowe, bohaterstwo to, rozpalając iskrę rycerską w sercu autora, porwał i uniosło jego pióro. Obraz też owych pogan, oddających ostatnią kroplę krwi, bo obronie zdeptanych praw historycznych, w obronie wierzeń swych i ukochań, wyszedł stokroć silniej, stokroć wspanialej i szlachetniej, od postaci fanatycznych zdobywców, walczących w imię krzyża.

Czy utwór stracił na tem? Bynajmniej Chrześcianizm nie potrzebuje apologii, w powieściowym obrazie historycznym.

Skoro zaś ta struna, struna walki pogan, za cześć i nienaruszalność ognisk domowych, uprawiała w najsilniejsze drzenie duszę artysty, dobrze uczynił, gdy dreszcz ów święty sprobował przelać w sercu czytelników.

A epoka historyczna doskonale po temu obraną została.

Nad państwem rzymskim, panują: Teodozjusz Wielki i Walentynian II-i. Imperyum, kierowane już oddawna przez cesarzy chrześcijańskich, nie wyrzekło się jednak czci dla poganizmu. Teodozjusz więc, znany z gorliwości religijnej, wydaje w Konstantynopolu edykt, nakazujący zamknięcie świątyń bałwochwalczych. Wykonanie prawa tego, leży również na sercu młodzieńczemu Walentynianowi, który, z rezydencji swej Wiennej, wysłał do Rzymu wojewodę Italii, twardego fanatyka, Winfridusa Fabricjusza, z poleceniem zupełnego wykorzenienia pogaństwa.

W planach tych zapomniano o jednej rzeczy: Oto, że cesarz Walentynian, jako zbyt młody, miał dodanego do pomocy w rządach, króla Arbogasta, naczelnego wodza armii, stanowiącej dotąd obronę i twierdzę poganizmu.

Władca plemienia frankońskiego, które, osiedliwszy się, na mocy przymierza zawartego z Juliuszem Apostatą, w północnej Gallii, służyło cesarstwu rzymskiemu wiernie, był on tarczą państwa i głową zachodniej prefektury. Walentynian miał tytuł, on — władzę. Z chwilą więc, gdy młody imperator, chcąc się z pod przewagi tej wydostać, odmawia mu legionów, na pomoc przeciw Frankom, a do Rzymu śle Winfridusa Fabricjusza, z rozkazem zwalczania pogaństwa, dumny król Arbogast nważa samowolę tę, za wymierzoną przeciw sobie obelgę.

Podrażniony więc, wysłał poselstwo z darami do Frawitty, króla Franków, sam zaś, zamiast walczyć z nim za Romę, jedzie do Wiennej, by się upomnieć na Walentynianie, o krzywdę sobie wyrządzoną.

(Dokończenie nastąpi).

## PRZYRODA W POEZJI

przez

ANTONIEGO PILECKIEGO.

(Pracę tę w streszczeniu wygłosił autor w d. 25 i 28 Marca r. b. w Sali Muzeum Przemysłu i Handlu, jako odczyt publiczny na rzecz ubogich, zostających pod opieką Warszawskiego Towarzystwa Dobroczynności).

(Dalszy ciąg).

W „Konradzie Walenrodzie“, aczkolwiek dzieje bohaterów poematu odgrywiają się w zamierzchłej przeszłości, przyroda jest tak blizką sercu poety, jak gdyby „gałązka litewskiego chmielu, wdziękami pruskiej topoli nęcona“, wisiała tuż... tuż nad jego głową, i jak gdyby nanią łzawemi spoglądał oczami. „Słowiki kowieńskiej dąbrowy.“ które „z bracią swojemi kapuszczańskiej góry wiodą, jak dawniej, litewskie rozmowy“, to są te same słowiki, które śpiewem swym czarowały poetę w dniach jego dzieciństwa i młodości wczesnej. Pieśń o Wilii wśród tulipanów i narcyzów płynącej, zdaje się że z serca ludu litewskiego wypłynęła, tyle w niej barw i dźwięków swojskich. Tu i owdzie urozmaicają pomaz obrazy natury, jak gdyby pędzlem malarza nakreślone, a takie prawdziwe i takim ciepłym serdecznym owiane. Poeta kreśli je krwią swych uczuć; one są technieniem miłości i tęsknoty jego. Przyroda cała przemawia rzewną mową wspomnień: lasy, kwiaty, źródło, wierzby i nawet kamień martwy — wszystkie naokół mówi do stęsknionego wędrowca głosem serca ludzkiego. A ileż wspaniałych symbolów przyroda dostarcza Mickiewiczowi, ileż przemówień, ileż obrazowości dla przedstawienia obywateli duchowych. Oto, na przykład, jaki wyraża daje poeta pragnieniem serca dziewczęgo:

„I na najwyższym stanąwszy pagórku,  
„Myślałam sobie: Gdyby te skowronki,  
„Ze skrzydeł swoich dały mi po piórku,  
„Poszłabym z niemi, i tylko z tej góry  
„Chciałabym jeden mały kwiat uszczyknąć.  
„Kwiat niezabudki, a potem za chmury  
„Lecieć wysoko! wysoko! i zniknąć.“

Wybrzeża Połagi, „gdziegrzmąciami piersiam białe roztraca się morze i z pienistej gardzieli piasku strumienie wylewa“, nasuwają wyobraźni poety myśl, że „ziola pachnąca“ „łaki narbrzeżnej“, które „czołem siłą się jeszcze przebić śmiertelne pokrycie“ pochłaniającego je piosku, to ofiary podboju Krzyżackiego, to Litwina a „żwiru hydra“, która „białe pletwy roztaclę lądy żyjące podbija i rozciąga dokoła dziki królestwo pustyni“ — to Zakon zaborczy. Sokół w klatce żywiony, gdy go puszcza, „aby braci sokółów wojował“, „choć srogimi mękami łowcy odbiorą mu rozum“, to jednak:

„Skoro wzniesie się w chmury, skoro pociągnę  
[oczyli z  
„Po niezmiernych obszarach swojej błękitnej  
[ojczyzny  
„Wolnem odetchnie powietrzem, szelest wysłysz  
[skrzydeł usłysz  
„Pojdź myśliwczę do domu, z klatką nie czekaj  
sokół

Poeta widzi przyrodę nie we mgle zadum metafizycznej, a czuje ją w każdym drgnieniu serca gorącego; kocha ją, jak matkę, która go piersią własną wykarmiła; odczuwa w jej łonie te same strumienie krwi, która w żyłach jego płynie.

W płynącym szybko opowiadaniu dzieje „Grażyny“, daleko mniej oglądamy tych urodzonych malowideł, które poeta w „Konradzie Walenrodzie“ po łanach ziemi litewskiej rozrzucił.

cił, a w każdym razie, gdybyśmy się im bliżej przypatrzyli, nic nowego do powyższej charakterystyki nie moglibyśmy dodać. To też pójdziemy dalej, tem bardziej, że nam śpieszno po pieścić się największym arcydziełem pieśni naszej.

W epepei wspaniałej, jaką kreśli wieszcz nasz w „Panu Tadeuszu,” dał on przyrodzie takie ukochanie, jakiego ani Goethe, ani Byron, ani żaden inny poeta dotąd dać jej nie zdołał. W innych epepach przyroda odgrywa rolę drugorzędną, jako tło, jako ornamentacja, jako zresztą czynnik współczujący, ale nigdzie nie była, jak w „Panu Tadeuszu,” jednym z głównych bohaterów pieśni, bohaterem, opiewanym z najwyższą miłością i dla tej miłości właśnie. Natura i ludzie stanowią w epepei Mickiewicza jedną nierozłączną całość. Przyroda jest krwią serdeczną ludzi, jest oddechem ich piersi, częścią ich życia, jest ich domem, kolebką i grobem. Poeta widzi ją we mgle wspomnień, w jurtrance lat dziecięcych, tak żywą, jak gdyby ją dopiero wczoraj oglądał; widzi ją, już nie, jak w „Sonetach krymskich,” w zarysach ogólnych, a w każdym zjawisku, czy to olbrzymiem, czy drobnem, w każdej istocie, czy to wzlatającej w chmury, lub imponującej ogromem i siłą, czy w malej, słabej, po ziemi pełzającej, czy to we wspaniałym wizerunku puszczy leśnej, czy w malowniczych opisach grzędy ogrodowej, lub grzybów.

A wieje od przyrody w pieśni wieszcz nasze go to technienie świeże, które jest „zdrowiem,” czerstwością ducha. To przyroda nie w metafizycznym jej odczuciu, a przyroda nasza, przyroda żywa, oddychająca wonią pól i lasów, przyroda, znana z oblicza każdemu, kto wśród niej przebywał:

„Od lipy, która koroną wspaniałą  
„Calej wsi dzieciom użyczała cienia,  
„Aż do każdego strumienia, kamienia.”

Przyroda to „pagórków leśnych,” „łak zielonych,” rzek błękitnych, pól, „malowanych zbożem rozmaitem,” przyroda, nad którą przyswieca słońce, zaczerwienione w zachodzie, „jak zdrowe oblicze gospodarza,” z którym ona razem do pracy wstaje, z którym trud dnia znojnego dzieli, z którym wreszcie razem „na spoczynek powraca.” W przyrodzie tej żyje człowiek ze wszystkimi codziennymi uczuciami swemi, a ona, dobra przyjaciółka i towarzyszka, „mnóstwem głosów szeptu mu do ucha;” współczuje też bólowi jego, daje mu „pamiętną wiosnę,” „kwitnącą zbożem i trawami,” a brzemienią przepowiednią zawieruchy wojennej. Przyroda ta pełną jest przeczuć, pełną grozy w dniach zaburzeń, pełną blasków w dniach pokoju; śle ona promyki słoneczne, które wpadają przez szyby, jak „strzały brylantowe,” ubierają oblicze i skronie umierającego Robaka „w ognistą koronę.”

Wyobraźnia poety rzuca na oblicze natury wielkie bogactwo plastyki, a zarazem barw nad wyraz uroczych i ponętnych. Wyobraźnia ta wzlata na skrzydłach uczucia i widzi w przyrodzie to, co widzieć może tylko prawdziwe ukochanie, widzi piękno nawet w brudnych szatach jej niepogód, widzi wspaniałe „sceny i obrazy z samej gry obłoków,” a serce wieszczka każde przenosić szare mroki ziemi ojczystej nad błękitny południa.

Pieśń poety nie tylko daje nastrój przyrodzie, ale też wprost ją uczłowiczy. Oto odtwarza nam „pocziwą brzezinę, która, jak wieśniaczka, kiedy płacze syna, lub wdowa męża, ręce załamie, roztoczy po ramionach do ziemi strumienie warkoczy. Niema z żalu, postawą tak wyrażnie szłocha.” A ten dąb, „mchami brodaty,” który, „włożywszy pięć wieków na swój kark garbaty, wspiera się, jak na grobów połamanych słupach, na dębów, przodków swoich, skamienionych trupach,” a ta ożyna, „czarne usta tuląca do malin;” a te wszystkie drzewa i krzewy, które „liśćmi wzięły się za ręce, jako do tańca stojące panny i młodzieńce;” a te sędziwe buki, siedzące w milczeniu i patrzące na młod-

sze drzewa, „jakby starce na dzieci i wnuki;” te matrony—topole, te jarzębiny ze świeżym pasterskim rumieńcem; a ta „puszcz przepastna kraina,” w której poeta znajduje królestwo przyrody oddzielne, samoistne, wrzące potęgą bujnego życia natury pierwotnej—całe społeczeństwo zwierząt i roślin—wszystko to żyje, wszystko przemawia oniemal językiem ludzkim, wszystko ma nastrój serdeczny, głęboki, a swojski. Wiele z tych obrazów znika z czasem, zamieniając się w pamiątkę dziejową.

Przyroda w „Panu Tadeuszu” nie tyle rozmarza, ile orzeźwia, jak powietrze i woda czysta, i zniewala, aby ją kochać szczerze, bez afektacji sztucznej; jeżeli zaś rozmarzy na chwilę, to tylko czarem wspomnień, które się z nią wiążą. Wizerunek jej gra barwami prawdy i życia. Pieśń poety tak ożywia naturę, jak owa wspaniała gra wojskiego na rogu bawolim ożywiła i napełniła knieje i dąbrowy.

Pory dnia i stany pogody znajdują w opisie malowniczym niezrównany, pełny życia wizerunek: czy to świt, gdy „bez rumieńca,” „wykrada się z wilgotnego mroku;” czy to „dzień bez światła w oku,” „ze słońcem, które „idzie nie wesoło i po drodze drzemie;” czy to zachód, gdy słońce „krąg promienisty spuszcza na wierzchołki i gałęzie drzewa, cały las wiąże w jedno i jakoby zlewa;” czy to burza, „śród której „nagle wichry zwarły się, porwały się w poły, borykają się, kręcą, świszczącami koły krążą po stawach, mącą do dna wody w stawach—wpadły do łąki, świszczą po łozach i trawach;” czy to wreszcie chwila roz pogodzenia się „śród mgły spadającej, gdy wiatr „rozwią dlonie” i „mgłę muska, wygładza, rozściela na błonie,” a słonko z góry „tysiącempromieni tło przetyka, posrebrza, wyzłaca, rumieni.”

W „Panu Tadeuszu” sztuka tak się zlewa z naturą, że jest niejako nią samą. Poeta wznosi przyrodę w szatach jej codziennych do wyżyn ideału przez ukochanie, wlewa w nią ducha własnego. Wyobraźnia wieszczka, niezmiernie plastyczna, przyobleka ją w takie bogactwo kształtów i barw, że możnaby te kształty i barwy w najpiękniejsze arcydzieła sztuki malarzkiej wcielić. Najwięcej zaś daje poeta przyrodzie z tej dziedziny ducha swojego, która się sercem nazywa. Podnosi kłosa zboża z pól rodzinnych i do piersi gorącej je tuli. To ukochanie ma w sobie potęgę, która musi spełnić pragnienie, jakiego w prostszych, głębszych i serdeczniejszych słowach nie wyraził żaden dotąd poeta:

„O! gdybym kiedyś dożył tej pociechy,  
„Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy.”

Epopeja Mickiewicza jest nie tylko epopeją gromady ludzkiej, ale zarazem epopeją przyrody.

(Dalszy ciąg nastąpi).

## Z KONSTANTYNOPOLA.

*Ostatnie dni Października.*

U was już chłody, zimna, ostry powiew jeziennego wiatru przynosi przedsmak rychłego zapewne mrozu,—tu bywają jeszcze dni tak upalne, że traci się wszelką ochotę do pracy. Ot i w obecnej porze, od kilku dni mamy iście letnie gorąco. Już mnie głowa boleć poczyna. Precz z piórem i kałamarzem! W taki czas tylko próżnować, odpoczywać w jakim chłodnym miejscu, np. w wagonie kolei tunelowej. Tam przynajmniej odetchnąć można. Dobrze, ale jakże tu jeździć przez kilka godzin tam i z powrotem z Pery do Galaty?

Wybiorę się chyba do Bosforu, na morzu tak przyjemnie. — Podążam tedy ku przystani parostatków; most nosi nazwę „nowego” i liczy zaledwie dwadzieścia lat istnienia, lecz doprawdy niktby się tego z pozoru nie domyślił.

Panowie Grecy, a może i Francuzi, którzy w 1877 roku most ów budowali, musieli przy tej sposobności myśleć przedewszystkiem o własnej kieszeni. Turcy raz jeszcze dowiedli że się na interesach wcale nie znają. Ilekroć ręka zagradza mi drogę. Aha, myślę, to poborca mostowego i sięgam czempredzej do kieszeni. Przebóg! nie mam przy sobie drobnych.

I cóż to znaczy? pomysłisz łaskawy czytelnika. Tak, zapewne, wszędzie, tylko nie tutaj, gdzie brak drobnych pociąga za sobą stratę czasu, pieniędzy i dobrego humoru.

W kieszeni znajduję same srebrne „medjities,” które w stosunkach handlowych przedstawiają wartość 20 piastrow (przeszło 2 ruble), za to w państwowych kasach o 1-go piasra mniej. By uniknąć tej straty zmuszony jestem powrócić na brzeg i poszukać wekslarza. Zmieniam mego talara za opłatę 20 para (5 kop), przy czem wekslarz zapytuje uprzejmie, czy nie posiadam złota. Wyjątkowo gotów jest zmienić je za drobną opłatą 2-ch piastrow. Obrzucam dobroczyńcę piorunującym spojrzeniem i śpieszę z powrotem na most,—by przybyć do przystani w chwili właściwej, gdy parostatek zdażył już odbić od brzegu. Czekażże teraz całą godzinę lękaj duszne, przesycone pyłem powietrze. Dla zabicia czasu wchodzić do jednej z licznych „cafés à la turque” i wedle zwyczaju żądam czarnej kawy z mrożoną wodą, co prawda, sam tego nie odczuwałem, ale znawcy dowodzą, iż zestawienie tych dwóch napojów przynosi ogromną ulgę podczas gorąca. Chłopiec usługujący, przygląda mi się badawczo. Co on sobie myśli?

Nie Turek, nie Grek, nie Armeńczyk, więc chyba Anglik, albo co najwyższej Francuz,—i w tej że chwili poczyna znosić mi: „Levant Herald,” „Moniteur” i „Figaro.” Już wyciągam rękę, by pochwycić gazety, aliści przypominam sobie, że postanowiwszy używać prawdziwego bezrobocia, muszę pozostać konsekwentnym i nie brać do ręki żadnej drukowanej bibuły.

Nareszcie mija godzina. Statek nadchodzi, kasa z biletami otwarta. Rzucam mego srebrnika i schodzę po stopniach na pokład, z daleka upatrując jaki spokojny kącik.

„O! dzień dobry! jakież miłe spotkanie! Zapewne dąży pan na świeże powietrze? może do Terapii na jaki „interview” z posłami?”

Dwaj panowie, znajomi z restauracyi, w której spotykamy się niemal codziennie witają mię nader uprzejmie.

Są to Grecy i z pewnością czuli by się nad wyraz unieszczęśliwieni, gdyby nie poświęcili przynajmniej dwóch godzin przed śniadaniem na dyskusowanie w kwestyach natury politycznej. „Atom cię dostał” myślę w duchu. Zaczyna się prawidłowe obłęzenie,—przyniesiono krzesła, zapalono papierosy i posypały się pytania.

„Czyś pan słyszał, że?...”

„Łaskawi panowie” — przerywam—nie słyszałem nic i o niczem słyszeć niepragnę. Urządziłem bezrobocie i dałem sobie słowo, że ani polityką, ani wiadomościami gazeteciarskimi zajmować się nie będę.”

„A to doskonały żart,” śmieją się moi towarzysze. — „Musimy panu tedy powiedzieć, że znowu zachodzą pewne trudności. Tessalii oddać nam nie chcą,—czy się pan domyślasz, jakie zkad będą następstwa?”

I tu rozwinęli przedemną olbrzymi plan, z którego wywnioskowałem, że gdyby tylko chcia-no... ale dotąd jakoś jedni nie chcieli, drudzy nie mogli, ze względu, pono na Europę i króla Jerzego.

A więc, gdyby chciano cały kraj, jak jeden mąż stanie pod bronią. Zebrać 400,000 ludzi—drobnostka, a wtedy w ciągu 3 miesięcy skasuje się władza muzułmańska.

Tak, tak, moi panowie, nauczyliście się nie wiele, ale za to dużo zdążyliście zapomnieć,—pomysłalem sobie, gdy nareszcie skończyła się ta nudna rozmowa.

Stacya Bebek! Obaj moi Grecy wysiedli, a ja odetchnałem swobodniej.

Z morza wylania się powoli pasmo gór z ruinami Rumili Hissar, powyżej zaś rozciąga swe panowanie słynne Robert-College, będące środkiem angielsko-amerykańskiej propagandy. Tu, po za temi murami, wszczepiają młodym bulgarom i armeńczykom, nienawieść polityczną i fanatyzm religijny,—tu, pod osłoną kapitulacyi, na tureckim gruncie, w czasie letniej przerwy w naukach, rozlega się echo oracyi politycznych, podżegających przeciwko wszystkiemu, co tureckie... A teraz, pytam, czy jest jakie państwo, które by znosiło u siebie podobne nadużycia?

Naprzeciw Rumili - Hissar, na azyatyckim brzegu, leży Anodoli Hissar. Obydwa zamki datują jeszcze z czasów oblężenia Konstantynopola. Oto jesteśmy u najwęższego miejsca Bosforu, w którym Daryusz niegdyś rozkazał wznosić most. Wspinała dzieło, jeśli weźmiemy pod uwagę, że szerokość morza dochodzi tu jeszcze do 500 metrów, a silny prąd wody nawet dzisiejszym doskonałym statkom może się dobrze dawać we znaki.

Terapia! Wysiadam tedy, by sprawdzić, czy rzeczywiście, wieje tu stale wiatr północny, obniżający znacznie temperaturę. Nie zaraz mogę to sprawdzić, ale może wiatr pojawi się jeszcze. Nie dziwiłbym się zbytnio, gdyby i on dziś próżnował jeśli już nie z wrodzonej złośliwości, to choćby dlatego, że rok bieżący w brzydki sposób zażartował sobie z wszelkich przepowiedni meteorologicznych.

Z pomiędzy licznych, położonych nad Bosforem letnich miejscowości, Terapia, jak wiadomo, cieszy się uznaniem największem. Położenie i okolica cudowne, co się zaś tyczy przyjemności pobytu, to znów inna kwestya. W czasie niesezonowym pusto tu i smutno, a przede wszystkim za daleko od miasta. Dodatnie strony miejscowości nie są w stanie wynagrodzić nudnej 2-milowej podróży w jedną i drugą stronę.

## NA MORZU.

OBRAZY I NASTROJE.

(Dalszy ciąg).

Przypomniały mi się Mickiewiczowskie *Sonet Krzymskie*, a szczególnie ta strofa z *Burzy*, w której poeta mówi:

Wicher z tryumfem zawył; a na mokre góry,  
Wznoszące się piętrami z morskiego oddechu.  
Wstąpił geniusz śmierci i szedł do okrętu,  
Jak żołnierz szturmujący w połamane mury.  
Ci leżą nawpół martwi...

Wprawdzie do naszego okrętu nie zbliżał się jeszcze „geniusz śmierci,” gdyż do tej pory zachodziła tylko obawa innego „geniusza,” którym była choroba morska, a którego ponurym zwiaśtunem były coraz dotkliwsze nudności, ale mi-

mo to nie brakło takich, co jak w Mickiewiczowskim sonecie leżeli „nawpół martwi...”

W tak niepomysłnych warunkach zasiedliśmy do obiadu, a zasiedliśmy w niepełnym komplecie, bo kilka osób, zrezygnowawszy z posiłku, udało się do swoich kajut... W jakim celu? Tajemnica. W każdym razie nie musieli mieć apetytu!... I my nie byliśmy głodni. Nie mógł tego powiedzieć o sobie kapitan okrętu, ani jego towarzysze z załogi, którzy, obyci z morzem, przestali być wrażliwi na taką chwilę, jak ta, która nas w tej chwili coraz bardziej zaczynała wytrącać z równowagi. Nie uszło to baczności kapitana: po zupie, której wszyscy zjedli zaledwie po kilka łyżek, widocznie przymuszając się i do tych kilku, kiedy służący poczęli rozlewać wino, kapitan Marinelli, zwróciwszy się do naszego gospodarza (*maitre d'hôtel*), zażądał kieliszek koniaku, a zwracając się do całego towarzysztwa, które siedziało w milczeniu i zadumie, rzekł: „Ktokolwiek z państwa czuł by się niezupełnie dobrze, temu radzę pójść ze moim przykładem: koniak jest największym nieprzyjacielem morskiej choroby, zatruwa ją w zarodku, co także czyni wermut.” Wrażenie, jakie na wszystkich uczyniły te słowa kapitana, było tak przekonujące, że zaraz okazała się potrzeba kilkunastu kieliszków koniaku i wermutu: we wszystkich wstąpiła nadzieja, że zdołają zażegnać niebezpieczeństwo, a nie brakło i takich, co uwierzywszy w słowa kapitana, że „nie robi tak dobrze *w takich razach*, jak koniak,” od razu wypili po dwa koniaki, ażeby się upewnić podwójnie... Tymczasem podano pierwsze pieczyście, za które jednak, pomimo koniaku i wermutu, mnóstwo osób podziękowało, tłumacząc się przed swymi sąsiadami, że „*jakoś nie mają apetytu*.” Widząc to, kapitan, który sobie nałożył ogromną porcyę, zwrócił uwagę, że nie dobrze jest *wrazie czego* mieć pusty żołądek, a natomiast dobrze jest *na wszelki wypadek* być najedzionym. Reszty kazał się domyśleć, a choć nie nazwał rzeczy po imieniu, uważając za stosowne omawiać ją dyskretnie, wszyscy wiedzieli, niestety, o co chodzi, a niektórzy, słuchając tych zbawiennych rad doświadczonego kapitana, przypominali mi ten obraz galeryi wersalskiej, na którym jest wyobrażona chwila z czasów rewolucyi francuskiej, gdy legitymistom i rojalistom, zgromadzonym w wielkiej sali więziennej, czytają wyrok śmierci: taka złowroźna blade malowała się na wszystkich twarzach. Tymczasem okręt zataczał się coraz bardziej, ściany trzeszczały, morze huczało, a bałwany urastały do takich rozmiarów, że jeden chlusnął przed otwarte okienko nad stołem, przyczem oblał naszych Anglików-szachistów. Należało kazać pozamykać okna, choć w sali było duszno, jak w wagonie, który cały dzień stał na słońcu. Z kolei podano jarzyny, których wszyscy nabrali ogromne porcyę, ażeby na wszelki wypadek i kiedyśmy się gwałtem zmuszali do jedzenia ich, choć nam z trudnością przechodziły przez gardło, kapitan, zjadając smacznie, opowiadał o burzach w ogóle, o tej, zaś która nas czeka, w szczególności, przy czem nie omieszkał podkreślić, że morze Środlonem—na którym znajdowaliśmy się właśnie—jest najgorsze *pod tym względem*; że np. burza na Oceanie zawsze daje się mniej we znaki, aniżeli na małych morzach, na Środlonem lub Adryatyku. Grobowe milczenie, z jakim słuchano tych informacyi kapitana, świadczyło najwymowniej jaki niepokój ogarniał całe zgromadzenie, jak stopniowo zaczynaliśmy tracić nadzieję. I znowu przypomniał się czwarty Sonet krymski, a szczególnie ten wiersz, gdzie poeta

mówi: „Słońce krwawo zachodzi, z niem reszta nadziei...” Bo i nad naszym okrętem krwawo w tej chwili zachodziło słońce, a jego pasowzłote promienie, podobne do roztopionego szkarlatu, wpadając skośnymi smugami przez okragłe szyby okien do wnętrza naszej sali, oświecały ją i niektórych uczestników obiadu, siedzących naprzeciw okien, jakimś tragicznym blaskiem, jakby refleksami łuny. Swoją drogą był to wspaniały efekt, a wnosząc z jaskrawości światła, miało się przybliżyć wyobrażenie o piękności tego zachodu słońca, od którego w tej chwili musiał się palić cały horyzont; mimo to, zamiast o tym zachodzie słońca, wszyscy myśleli o korniszonach, których lokaje przynieśli kilka salateretek, a które podobno, jak utrzymywał doktor okrętowy, *doskonale robią w takich razach*. Skoro tak (pomyślał sobie niejedyn), to zjedzmy kilka korniszonów. I od razu, jakby na dany znak, kilkanaście rąk, z widelcami w palcach, wyciągnęło się w kierunku salateretek z korniszonami. Z kolei podano rybę, za którą znowu kilka osób „podziękowało,” w tej liczbie i moje Angielki, których widok powoli zaczynał budzić litość w mem sercu. Siedziały smutne, nie mówiąc ani słowa, i tylko raz po raz sięgały po korniszony. To samo czynili inni, a gdy lokaje zaczęły zbierać talerze po rybce, jeden z Francuzów, którym także miny zrzedły jakoś, powstał od stołu, a ocierając pot z czoła, przeszedł na pobliską kabinę, położył się na wznak, a blade był, jak trup. Zwróciło to powszechną uwagę, ale nikt nie uśmiechnął się nawet, bo każdy czuł, że mu grozi to samo. Jakoż po niedługiej chwili pobladł nasz Dumas, a odłożywszy widelec, na którym jeszcze tkwił kawałek niedojedzonego korniszona, poprosił o syfon wody sodowej. Usłyszawszy to, domyśliłem się, że widocznie woda sodowa musi dobrze robić *w takich razach*, a że poniżej krtami czułem ostatni kawałek łososia, który, choć przegryziony dwoma ostreimi korniszonami, także mi robił wrażenie, jakby się gwałtem chciał wy dostać na wierzch, więc i ja kazałem sobie podać syfon wody sodowej. Chciałem nią poczęstować także i moje *vis à vis*, ale niestety, to *vis à vis*, zanim mi przyniesiono syfon, powstało od stołu, co także uczyniła jej siostra, oświadczając, że idą zobaczyć, co potrabia ich mama... Zapomniałem wspomnieć, że pani Stone już po zupie przeszła do swojej kajuty... W końcu zaczęto obnosić rozbił, ale tym razem już i ja powiedziałem: *Merci*. Pomimo dwóch szklanek wody sodowej, która mi orzeźwiła chwilowo, czułem, że wszystko, com zdążył zjeść dotychczas, zamiast—zgodnie z Newtonowskim prawem ciężenia—opadać na dół, usiłując wyłamać się z pod tego prawa, słowem, że zaczęła zdradzać pewne właściwości balonu: zaczęnałem być brany we dwa ognie: oprócz nieprzyjemnego gniecienia, które z każdą chwilą stawiało się nieprzyjemniejszem, czułem złowrogi nacisk na przelyk. Zjadłem jeszcze dwa korniszony, ale już i do korniszonów zaczynałem tracić zaufanie... Jednocześnie silny pot operłał mi czoło, a czoło to, kiedy dym je przetał ręką, było zimne. A jednak było mi gorąco, jakbym siedział w łaźni. Czuliem potrzebę odetchnięcia świeżem powietrzem, zdawało mi się, że wiatr sprawił by mi ulgę i rozkosz zarazem, gdyby mi poczęł chłodzić twarz.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Do dzisiejszego numeru „Bluszcza” dołączony jest: arkusz 10 powieści, p. t. *Dla zabicia czasu* Fr. Spielhagena. Przekład Z. S.

**Treść:** Wystawa pracy kobiet. II, przez Anatola Krzyżanowskiego.—Pogawędka, przez ?? — Piosenki chcesz? przez Wandę Kruską. — Kazimierz Gliński. Wróci! Powieść. (dalszy ciąg). — Z walk dziejowych, przez Anatola Krzyżanowskiego. — Przyroda w poezyi przez Antoniego Pileckiego (dalszy ciąg). — Z Konstantynopola.—Na morzu, przez Ferdynanda Hössicka.

**Dodatek obejmuje:** *Dla zabicia czasu*, powieść, Fr. Spielhagena. Przekład Z. S. Arkusz 10.—Przegląd mód. 27 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozyceje obiadu.